

ROZDZIAŁ XVIII

– Jakież to wszystko smutne! Jakież beznadziejne! – zawołał Orestes i odrzucił szklany flakon, który jęknął lekko i na kilka kawałków, sam jak lodu kryształy, po dagleżji pastowanej się rozszedł. Pod krzesło i łóżko. Na wszystkie świata strony. A orchidea pod stół. Wystrzeliła z flakonu niczym rakieta i leżała teraz sama na podłodze jak betka. Hortencia pomyślała, że Orestes, choć chimeryczny, zasługuje na przebaczenie. Szczególnie że sprzeciwu nigdy nie znosił. Teraz, w godzinę może i dla niego ostatnią, każda prośba jak rozkaz, jak posługa ostatnia. Co chce, ona zrobi. Innymi słowy, hulaj dusza, piekła nie ma.

– Orestesie drogi, czy mogę ci, panie, pomóc w sposób jakiś?

– Tak – powiedział głos smutny, lecz nie do końca zrezygnowany. Odczytała to z ruchu warg i niecierpliwego skinięcia dłoni.

– Czego chcesz, mój panie?

Zaległo milczenie. Dość długie.

– Ptysia – odpowiedział wreszcie.

Wstrzymała oddech, jakby chciała rytm szkła flakonu na powrót poskładać.

– Ptysia? – spytała, nie dowierzając.

– A co, głucha jesteś? Dużego ptysia z malinowym kremem. Kremu dużo, ze dwie porcje. Przecież mówię, że mi rózu trzeba! – zirytował się Orestes. – Tylko na tacy! Z honorami!

Został sam. Jeszcze wciąż zadziwiony natłokiem zdarzeń. Intymnych. I słów, które powoli wypełniały pustkę, jaka została po żalobie życia poprzedniego. Tak. Wciąż zadziwiony intensywnością zdarzeń. Odkąd choroba złożyła go na twardym materacu samotnego łoża, z każdym dniem odkrywał kolejny wątek uczuć, którymi do tej pory nie miał czasu i zapału się zajmować. Wręcz przeciwnie, można by powiedzieć, że poświęcał im dokładnie tyle czasu, ile uważał za ostateczne minimum. Nie miał go na dyrdymały. Dzielenie włosa na czworo mogło być dobre dla znudzonych żon konkwistadorów, hiszpańskich hrabianek i zbłąkanych wędrowców. Dla takiego plantatora jak on, przedsiębiorcy, wszelkiego rodzaju dywagacje myślowe zbijały tylko z tropu, wpędzały w ślepy zaułek, w którym panoszyły się mrzonki, histeria i egzystencjalny smutek. Jednak teraz los odwrócił kartę i to, co było do tej pory ruchome, jak dyliżans, wóz konny czy młyńskie koło, nieruchome się stało. A rzeczy do tej pory martwe, bierne w swej podmiotowej istocie, przemówiły doń głosem innym, głosem dziwnym, nieznanym. A i on sam, Don Orestes Gonzaga Greco, po raz pierwszy od wielkiego zakochania, czyli od niemal połowy dekady, poczuł się wolny, oswobodzony z kajdan pracy i przymusu. Poczuł się sobą. Zupełnie jakby do tej pory ktoś inny przemawiał jego ustami, jakby ktoś mu nieznanymi z góry kierował losu jego biegiem. Zdarzeniami.

– Straciłem wzrok, aby odzyskać siebie... i miłość – powiedział na głos, na pocieszenie, tak aby myśl ta zmateria-

lizowała się, przeniknęła przez kamienne mury domu, no i ostatecznie dotarła do widzów serialu.

Don Orestes żyje, a dopóki życia w nim wystarczy, dopóki myśli, słowa mają go piękną barwą i kolorem, dopóty żyje. Nie umarł jeszcze, jakby się to innym zdawać mogło, bo milczący, bo nieruchomy. Jak drzewa kłoda, jak konar, jak pniak w lesie spróchniały, na którym tylko przysiąść można, a zachwyty nie budzi żadnego. Litość może, obojętność. Lecz póki serce bije, a on oddycha, nadzieja jest, choć blada, na lek, eliksir i wiara, że synowie jego, z krwi i ciała, nie zawiodą oczekiwań marnych.

Komu przekaże sygnet? Który z synów dziedzictwa tego godzien być może? Tak, Alfonso byłby zarządcą dobrym. Silny, ambitny, senior wśród juniorów. W sobie jednak dość zawzięty, upartość z honorem myli często, w razie rebelii, o których wciąż się słyszy, nie odpuści, do zamieszek dojść może. A kiedy jeszcze mu prawdę całą wyjawi, wtedy już w ogóle litości lud niewolniczy od niego zaznać nie zdoła. Edmundo łagodniejszy, ale to pierdoła. Do poezji, prozy, klawikordu, ale na zarządcę nadaje się słabo. Brak mu werwy, zrywu, oka błysku, co fałsz najmniejszy wychwyci od razu. Gabrielo... O nim to w tej kwestii myśleć w ogóle nie wypada. Dobry chłopak z niego, ale co z tego, jak przygłupi? Właściwie niby jest do rzeczy, na pierwszy oka rzut przecież nie odstaje, ale przy ujęciu bliższym aż dziw bierze: gapa straszna i fajtłapa. Gorszego nikt w rodzinie nie pamięta. Ale dziecko jego być musi, bo skóra jakby zdjęta. Ten sam nos smukły, włosy, oczy. Pewnie Maria Donna Huarez w ciąży czasie kwasu foliowego, szczawiu jadła zbyt mało, bo to przecież cięża jedna po drugiej, a on ostatni. Tak to być musiało. Który z synów pierwszy przybędzie, przewidzieć to trudno.

Z pewnością nie będzie to Gabrielo, chyba że martwym go tutaj ujrzy przez konia przywleczonym. Leży chłopak zakrwawiony, leży na łożu, w pościeli, ręka wciąż mu krwawi. Don Orestes oczy zaciśnie, wizje przytrzymać pragnie, lecz twarzy rozpoznać nie zdoła. Twarz młodzieńca zamazana, na poduszce włosy rozrzucone niczym złota fala. Czyżby to Gabrielo jego drogi? Bo wszystkich jednak równo kocha. Serce ojca. Wiadomo. A może któryś z synów jeszcze innych? Najukochańszych, najdzielniejszych? Och, nie! Na samą myśl taką Don Orestes w płacz uderzy niemal. Łzy pod powiekami się zbierają.

No właśnie, do tego myślenie zbyt długie doprowadza! Po nici końcu zawsze do kłębka, do smutku źródła, do sedna! Złe myśli odrzucić trzeba, pozytywnym dywagacjom oddać się w ramiona, z degrengoladą skończyć, w ptysiu jak w dziewczynie młodej rozsmakować się raz jeszcze! – I za sznur z dzwonem przy łożku pociągnie. Jak na pogrzeb własny... (jakież to okropne!)

– Tak, panie.

– Co z ptysiem, Hortencio? Czyżbyś zapomniała?

Czasami nie ma co się zbyt długo namyślać. Trzeba słuchać głosu delty. Nurt rzeki wie, skąd wypływa źródło. Dotrzesz do niego, jeśli skierujesz się pod prąd. A tego można dokonać tylko brzegiem. Niebezpieczeństw czyha wiele. Z nurtem, z nurtem płynie się do ujścia. Gdzieś ono być musi. Do morza. Oceanu. Do wody. Do siebie. Z powrotem.

Filip szedł w dół ulicy. Czuł się jak największy bankrut tego świata. Nie mógł w takim stanie pokazać się w domu. Skoro jednak to jawny koniec jego złudzeń, dlaczegóż by tego nie

uczcić? Dlaczegoż by celebrować tylko jawne zwycięstwa? Czyż to nie upadki zaświadczają o potędze przyszłego sukcesu? Sprawdził, czy ma w portfelu kartę kredytową. I tak nic praktycznie na niej nie posiadał, ale przywileje debetowe stwarzały pewne możliwości. Spojrzał na siebie w oknie wystawowym. W odświętnym stroju egzaminacyjnym wyglądał niemal jak hrabia. Poprawił muszkę i wszedł do najbardziej ekskluzywnej restauracji w mieście. Natychmiast został doprowadzony do stolika i zapoznany z kartą dań.

Wyjął zakupioną na tę okoliczność cygarnicę i opuszkami palców przejechał po leżących jedna obok drugiej ciemnych cygaretkach. Przekręciły się, dość nieprzytomnie, jakby wyrwane ze snu, z letargu beczynności, podczas którego nie tylko wspominały rodowód swej zacnej marki, ale i całe dzieje plantacji, z której pochodził ich wyrafinowany tytoń. Nadszedł kres ich beczynnej, perfumowanej egzystencji. Jakże estetycznie czyste, kiedy weźmie się pod uwagę ich bezużyteczne przeznaczenie i szczęście, którym miały obdarzać tych wszystkich wybranków, którzy nie będą się wahać przepłacać za ich ekskluzywność i coraz wyższą akcyzę. Leżały tam niczym królewskie nałożnice i czekały, by zaspokoić najbardziej wyrafinowane gusta tych wybrańców ziemi, którzy zapłacą za te kilka chwil i za owo zatykające dech uczucie wyższości, które podnieca i poniża zarazem, czyli dostarcza minimum perwersji potrzebnej do tego, by ulec czarowi ich mało chwalebego przeznaczenia.

– Przepraszam, czy mógłbym prosić o ogień? – rzucił od niechcienia po francusku.

Pomyślał, że ponad wszelką wątpliwość nikt z obsługi nie włada tym językiem. A nawet jeśli, to nie w na tyle dobrym stopniu, by rozpoznać jego polski akcent. Czyż nie było

zabawne uchodzić za francuskiego arystokratę? Budzić postrach swym pochodzeniem, pierścieniem, manierami, pieniędzmi? A poza tym bunia zawsze się przechwalała, że jej korzenie sięgają czwartej odnogi trzeciego pokolenia samej hrabiny Marii Walewskiej. No więc co? No co?

Kelner natychmiast zjawił się przy stoliku.

– *Merci* – Filip nawet nie odwrócił głowy w jego stronę.

– *Anything else?* – spytał najwidoczniej zbity z tropu kelner.

– *Oui* – odparł Filip, rozmyślając o limicie kredytowym.

Postanowił zaryzykować. W końcu czy miał coś jeszcze do stracenia? – *Champagne... le meilleur et l'homar* – powiedział i dmuchnął kelnerowi dymem w twarz. Zupełnie tak jak profesor Kromel. Przez moment poczuł tę jedyną w swoim rodzaju sadystyczną przyjemność poniżania i z pewnym zażenowaniem stwierdził, że wcale nie czuje się z tym jakoś specjalnie dobrze.

Le plaisir de la vie, doszedł do wniosku i zaciągnął się dymem. Czuł, jak płuca rozszerzają się, a przed oczyma wyobraźni zobaczył zdjęcie rentgenowskie swojej klatki piersiowej i zaatakowanych astmą organów. Przez ułamek sekundy poczuł, że znalazł się już po tej drugiej stronie, do której wiedział o tym dobrze, niechybnie zdązał. Odczuł, jak zawsze w takich momentach, lekkie zamroczenie, które napało go lekkością, swego rodzaju frywolnym odcięciem się od rzeczywistego, wulgarnego życia. Reagował odcięciem, ba, by nie powiedzieć obojętnością, na wszystko, co należało do świata. Zaciągnął się jeszcze raz i teraz już z całą stanowczością poczuł tę rujnąjącą ciało przyjemność, która (jednakowoż) sprawiała, że jego dusza wznosiła się na mroczne wyżyny swej pokrętnej, nigdy do końca odkrytej (nawet dla niego!) egzystencji.

Jakież to wszystko dziwne i nieodgadnione... Dusza ożywa, kiedy truje się ciało! – pomyślał i znowu stanęło mu przed oczami zdjęcie rentgenowskie i dwa płaty niedorozwiniętych płuc. Jednak przyjemność (*le plaisir*) wzięła górę i zaciągnął się po raz kolejny. Spowity w ciemnej łunie, niczym w chmurze pyłu wulkanicznego, czuł już wyraźnie, że stacza się do Hadesu duchowej egzystencji. Podczas gdy ponad czterdzieści trujących związków chemicznych atakuje żywe komórki jego ciała, dusza rozkwita niczym nenufar w bagnistym stawie. Dusza żywi się trucizną ciała, rozpustą lub ciąglą męką tęsknoty. Bez niej życie, świat, spłaszczają się niczym talerz. Bez kątów, odchyień, wymiarów. Po raz pierwszy w życiu pomyślał, jak przyjemne może być przeciwstawienie się rozsądkowi. Tak, sprzeciwić się rozumowi! Jakby zaprotestować przeciw życiu, jego płaskim, wulgarnym wymaganiom i wręcz nieproporcjonalnie niskiej zapłacie. Przeciw żołdowi rzuconemu jak marne ścierwo pod nogi niewolnika. Czuł nikotynę docierającą do każdego zakątka ciała. Czuł śmierć przeważającą nad życiem. To go zaskoczyło.

Kelner nalał szampana, którego lekko drożdżowy aromat odurzał marzeniem innego, bardziej szlachetnego życia. Filip przyłożył kieliszek do ust, a kiedy uniósł do góry głowę, ujrzał twarz kelnera, jego tchnące niewinnością nieba oczy i wyraźnie zarysowane niczym na marmurowym posągu usta. Lekko uchylone wydawały się jeszcze bardziej niepokojące. Przeraził się. Szampan nie dawał za wygraną. Każdym tchnieniem wydawanym przez musujące bąble zapraszał do oddzielonego wibrującą cięciwą zdarzeń świata, ludzkiego, świata cielesnego. Niewidoczna żyłka ożywała wprawiona w lekkie drżenie, wydana na pożarcie tego,

co na zewnątrz, wsłuchiwała się w subtelne pulsowanie, w cichą, lecz namiętą grę świerszczy.

– *C'est bon?* – zapytał nieoczekiwanie kelner.

– *Qui, c'est bon* – odpowiedział, próbując ukryć wzruszenie i przez moment wydawało się, że szala przechyliła się na stronę życia.

Matka była w gabinecie. Za oknem padał deszcz i świeciło słońce. Jednocześnie. Na antenach siedziały parami gołębie. Zza spadzistych dachów wylaniał się supermarket sieci Real. Neon był wyłączony. Niemal błady na tle nieba.

A on pragnął, jak kiedyś, skryć się w zmroku, z którego rodzi się dziecko. Powrócił do zdarzeń lat przeszłych. Pociągała go myśl powrotu do praporządku rzeczy. Oraz nieograniczona wolność. Lecz świat wciąż trzymał go za gardło. Spojrzał w niebo, jakby tam miała znajdować się odpowiedź na największą zagadkę. A jednak zmierzch wieczoru spleciony z ziemią tylko nicią babiego lata kuśił obietnicą dostąpienia majestatu prawdy. Doświadczał rozdarcia, jakiego doznaje serce na widok pięknej topielicy. I nie chodziło tylko o jawną rozkosz, o której mówi dusza, kiedy opuszcza ciało. Wierzył, że czystość i oddanie, jakie niesie ze sobą śmierć, są warte wszystkiego, czym łudził go świat. Szala przeważała.

– A jednak śmierć – powiedział szczęśliwy, że już niedługo wszystko, co mdłe i nijakie, przemieni się w rozjaśnioną gwiazdę. Przynajmniej tak wyobrażał sobie ten początek i koniec. Z punktu wyszedł i do punktu zdążał. Do rozjarzonej gwiazdy, w obliczu której nic więcej już nie ma znaczenia. Tylko prawda. I słońce.

– A jednak śmierć – powtórzył. I choćby nie wiadomo jak się starał, przekonywał sam siebie, że to nieprawda, że nie

tak to wszystko, że to chwilowe, że przejdzie, wiedział, że nie, że już nigdy potem nie będzie tak jak teraz. Doszedł do końca drogi, maksimum możliwości, wiary i nadziei. Wiedział o tym. Odtąd nic już nie będzie takie samo. Jej twarz już na zawsze będzie odbijać się w jego pamięci wspomnień. I tak wszystko na marne. Na próżno. Za każdym razem, kiedy spotka kobietę, będzie chciał spłonąć. Pożądanie, które odbierało mu ostatnie resztki męskiej godności, będzie wpychać go w ramiona kobiet, karmić go nadzieją, że miłość przewycięży żal i osamotnienie. Na dnie rzeki muł. Delta zna największe tajemnice serca. Pożądanie pozbawia prawdy i wieczności. A za każdym razem, kiedy w końcu otrzeźwieje, kiedy znowu przekona się, że chwilowa rozkosz nie niesie ukojenia, będzie uciekał. Coraz dalej. W kolejne ramiona, w których znowu nie dozna niczego innego, jak tylko strach i rozpacz. Niepokój nie da mu spokoju. Długo. Aż pewnego dnia spojrzy w lustro i stwierdzi, że już wszystko przeminęło. On, ona. Wszystko. I to będzie koniec. Bez nadziei, bez ułudy, bez miłości, która już dawno rozmydli się w delcie wspomnień. Będzie niczym więcej, jak tylko zamazany zdjęciem z wakacji lub wspomnieniem czegoś, co w istocie nigdy nie miało miejsca. Marzeniem, któremu będą oddane wszystkie jego myśli. Marzeniem budzącym lęk. Lęk i nienasycenie.

Wyciągnął z szuflady scyzoryk, który dostał od ojca. Położył się wygodnie na łóżku i podciągnął rękaw. Przez moment przyglądał się gęstemu rozlewisku żył. Delta rzeki jest rozległa. Sięga drzew i oceanu. Zdecydowanym ruchem przeciął najcieńszą z nich.

Niech to kończy się powoli, pomyślał. Powoli się zaczyna, niech i tak się kończy.

Obserwował, jak cienka strużka krwi spływa w dół prze-gubu. Jeszcze mógł wszystko odwrócić. Niczego nie żałował. Przed oczami miał jej twarz, która pochylała się w jego stronę. Łagodnie.

– Agata – wyszeptał cicho. Niby zwykle, wręcz pospolite imię, a znaczyło dla niego tyle, co cały świat, co ziemia, morze, co rozkosz, ból, co wszystko, czym był i czym chciałby być. Nawet teraz nie mógł uwierzyć, że już go nie kocha. Nie można tak przestać kochać. Tak nagle. Tak w czasie. Linearnym. Zegarowym czasie, który tak naprawdę nic nie zmienia. Ścierają się tylko metalowe zęby przekładni, ale prawda pozostaje niezmienna. Taka sama na wiek. Na zawsze.

Spośród wielu zdarzeń tylko kilka miało miejsce naprawdę. Z pewnością urodził się i z pewnością wracał teraz do źródła delty. Chciał tam wrócić bez grzechu, bez wiary, bez nadziei, bez niczego. Potencjalnie. Tak jak przyszedł. Tu. Na te kilkanaście lat, podczas których zrozumiał więcej, niż chciałby wiedzieć, więcej, niż mógłby kiedykolwiek przypuszczać. Chciał w końcu być bez grzechu i winy, bez tego, czym karmiono go od dzieciństwa i co ostatecznie odrzucił. Zrobił to późno, zbyt późno, aby teraz cieszyć się całym dobrodziejstwem świata, więc choć teraz, teraz, zanim znowu odejdzie, chciał poczuć pełną radość brania i oddawania. Bez poczucia winy. Grzechu. Grzech, który nie pozwolił im jako dzieciom cieszyć się niemądrą bez troską metamorfoz. Grzech, który niczym cień zawieszony nad ich udręczonymi kruchymi ciałami, przypominał o zapłacie, o ofierze złożonej Panu za swoje istnienie. Grzech, który nakazywał im wyzbyć się wszelkich nieczystości i który od ich najmłodszych lat sprawował władzę nad ich dziecięcymi duszami. Grzech. Grzech. Grzech. Wszelkie

ułomności. Grzech. Nieczystość. Grzech. Nieumiarkowanie. Grzech. Lenistwo. Grzech. I nawet kiedy katował go ten chłopak, którego twarzy nie zapomni do końca życia, kiedy kopał go w krocze, nie powiedział o tym nikomu. Skarżyć to grzech. Czyż nie taką logiką kierował się jego dziecinny umysł? Czyż po to umarł za niego na krzyżu Jezus, by miał teraz skarżyć, by miał zniweczyć cały jego trud odkupienia? A teraz odejdzie. Sam. Przecież na zawsze sam. Zrobi to powoli, ale bez winy. Nic nikomu nie jest winien. Nic nikomu nie zabrał, nic nikomu nie musi oddawać. Powołali go bez jego zgody. I zadecyduje już sam, po raz pierwszy w życiu zadecyduje o tym zupełnie sam, że umowa już wygasła, że już koniec. Zrobi to bez winy. Za to z wielką satysfakcją. Bo zadecydował o tym sam. A zanim osiągnie spokój, jeszcze raz spojrzy na kwiaty swego ogrodu. Po raz pierwszy i ostatni zrobi to uwolniony od przymusu wdzięczności, od przymusu podziwu i uwielbienia mocy Pana. Jego moc jest uznana, nie do ogarnięcia, nie do wyparcia, nie do zrozumienia, ale on chce o tym wszystkim zapomnieć. Jak o burzy, o nocy bezsennej, o sobie. A krew czerwona, spływa bladą strużką. W dół ramienia, w środek dłoni, zaciśniętej jak mały czerpak, jak łopatką młyna. Wszystko pojawia się. Odchodzi. Powoli. Zostają obrazy. Tylko. Jej twarz w świetle majowego słońca, gliniany ptaszek zakupiony na jarmarku, pierwszy tort urodzinowy z masą z kremu, z seledynu. Słoneczniki. Maki. Na polu. W zboża łąkach. Z głowami pochylonymi, z wiatrem, co płatki wyrывa, czerwone, niesie w świata cztery strony. Jak na obrazie malarza. Chwila. Moment. Idzie też procesja. Cała. Kościół duży, z cegły. Wieże dwie i klasztor z boku. Klasztor jest dominikanów, a mur jest z kamienia. A na jednym odprysk widać. Farby szarej.

Zakonnica tu zginęła. Jeszcze ślad jest krwi brunatny. Widzisz, widzisz? Tutaj głowę przyłożyli i kamieniem w sam jej środek. Mózg na ścianie, teraz w szare się zamienił.

Tak. Uwierzył w tę historię. Bał się długo. Dziecko dziecko straszyć lubi. Skąd ten sadyzm? Z urodzenia? Idą dzieci tu czwórkami, z koszyczkami, z płatkami róży. W garniturze, elegancki, idzie, idzie. Dzwonek dzwoni. Więc przykleknie, kwieciami rzuci. Dalej idzie. Męka Pana. Grzech. Zbawienie. Zmartwychwstanie.

Wszystko kończy, zaczyna się nieśmiało. Ileż w końcu delta rzeki unieść może? Ileż mułu, drobin, szkła, kamieni, ileż wspomnień, dni ile? Strumień płynie cicho, szemrze, szepcze prawie. Płynie, płynie. Na rozstaju dróg tych zwolni. Zrozumie. Uciekać już nie trzeba. Mały kamyczek odbił się od skały, potoczył. Dalej. Dalej. Kolorowe szkiełko niesie nurt tej rzeki. Tam pod drzewem, pod akacją, w ogrodzie. Weźmie je do ręki, oczyści z piachu i pod słońce. Spojrzy. Szkiełko grube, butelkowe, na sekret najlepsze. W środek ziemi płatki kwiatów, złotko, kalkomania, od gumy balonowej. Wszystko ręką przyklepie, uformuje, na to szkło przyłoży. Sekret. Ziemią zasypie. Tak. Tu pod akacji cieniem. Sekret. Patykiem grubym naznaczony. Kiedy chce, przyjdzie, patyk weźmie, ziemię odgarnie, delikatnie, naruszyć przecież można. Sekret. O, już jest szkiełka warstwa. Tu płatek róży, tam stokrotka, kalkomania, Donald Kaczor, żuk nieżywy. Każdy sekret swój posiada. *N'est pas?* Sekret pod akacją zakopany. Patykiem, datą, imieniemznaczony. Wspomnienia. Iluzje przeszłości. Wszystko minie, żuka ziemia wnet pochłonie, kalkomania się rozklei, tylko szkiełko, ono tylko nurtem rzeki, w delty sploty lub do morza, wprost do oceanu. Miłość. Młodość. Pożądanie. Nic już wiecznie

trwać nie może. Szacunek. Honor. Cześć wspomnieniom.
To tak mało. Tak niewiele. Z ciał tych drżenia, pożądania – popiół. Obraz tylko zamazany. Tak mądrzy i tak głupi są zarazem. Wszystko mija. Płynie wszystko. Motyl siadł na czubku drzewa. On też zginie. Chociaż nie wie. Sennie. Cicho. Świat oddycha. Śnieg. Wiatr. Liście. Tulipany. Nikt nikogo nie przytula. Nie całuje nikt nikogo. Idzie sam pustyni brzegiem. Idź. Idź. Od nikogo sam nie odszedł. Nie zawinił. Gdy krzew znajdzie gorejący, w twarz mu spojrzy. W jądro ognia, bez wahania. W życiu złego nic nie zrobił. Skrucha. Żal. Pokuta. Męka Pana. Krzew ten w proch się też zamieni, ogień wszystko żarem strawi. Ogień. Woda. Niebo. Ziemia. Krew w pustyni piachu brodzi. Rzeki tworzy rozlewiska. Cicho. Cicho wszędzie. Szemrze wiatr w rozstępach skalnych. Nie ma pychy, pożądania. I miłości też już nie ma. Nie ma nic. Nie ma nas. Jego nie ma. Prawie. Czas łagodzi złość i płomień. Dzień rutyny się domaga. Nic nie wskrzesi pożądania. Nie roznieci już płomieni. Wiatr łagodny tu panuje. Wszystko mija. Miłość mija. Bunt i władza. W posłuszeństwie nurtem spływa. Nurty, pływy, didaskalia. Słońce nurza się w płomieniach. Cichnie, blaknie, się roztapia. Idzie przodem karawana. Najwyraźniej szum gdzieś słyszy. Szum to wody. Oceanu. Już czas. Czas już.

Yalla! Yalla!

ROZDZIAŁ XIX

Don Orestes Gonzaga Greco przyjmuje ptysia z honorami. Z kremem podwójnym, malinowym kremem. Z wierzchu wykwinny, napuszony, a w środku skromny, niepozorny, w kalorie bogaty, a treść raczej nieznaczną, kremową, w witaminę C, co z malin, malinową. Kopuła w zarysie stożkowata, orientalna, jakby turecka nawet. A i zapach, i kolor orientu bardziej. Róż z czerwonymi wypustkami. Jak szal tancerki, suknia z cekinami. Palec wsadził w kremu masę, do środka, na przestrzał niemal. W środku ciepło, palec w masie jak w pierzynie. Jakie słodkie może okazać się życie! Drugą ręką po kopułę sięgnie i choć mrok pod powiekami, woń z malin kremu w nozdrza niemal pali. Jakby pokrywę zdjął z garnka, a opary uwolnił. Na świat, na zewnątrz, aby w przestrzeń się wdarły smugą słodką, malinową smugą. Jak dżin, co z więzienia środka uwolniony, tak teraz ptysiowy zapach, zapach malin, białek i wanilii zapach, okryje powłoką swoją zwątpienie całe, żal i smutek. Palec wyciągnie, po wypustkach skręceń językiem przejedzie, jakby raz jeszcze przekonać się zechciał, że zastygła cienka skorupki warstwa istnieje w rzeczy samej. Koniuszkiem powłokę przebije, niczym dziewicy błonę marną, i do ust środka transport mały uskuteczni. O podniebienie rozetrze i westchnie: – Rozkosz! Toż to rozkosz jawna!

A kto myśli, że tu o erotyzm chodzi, myli się sowicie. Szukać tu metafor nie należy. Płyś jest ptysiem. Kopyła kopyłką, słodką, chrupiącą, a krem, mdławy nieco, nazbyt w cukry obfity, puchem niebiańskich rozkoszy, cielesnych, kulinarnych, co światu raz jeszcze przypomnieć mają, iż żyć jednak warto. Dla kwiatów, orchidei, żuka, owada, dla ptysia, dla kremu i kopyły kruchej, co pod strzechą swoją w brązu przypaleniu lekkim osmańskie królestwo wciąż kryć może. Szttychy na ścianie, szttychy średniowieczne i tancerkę, turecką, z brokatem z malin ziaren, z cekinami, co i twarz, i łono niemal nagie, zwojem świecącym oplotą, o słodyczy i rozkoszy zaświadczą. Tak się wraca do słów. Do środka. Do przyczyny.

Kiedy Don Orestes rozcierał kolejny kęs ptysiewego kremu o ziemiańskie podniebienie, jego najmłodszy syn, Gabrielo, podążając tropem czarnego jastrzębia, szedł górą skalnego urwiska. Nie było to łatwe, gdyż na plecach targał mlekodajną kozę. Pot spływał mu po plecach, bolały go lędźwie i kolana. W końcu dotarł do zaczarowanego źródła, u podnóża którego siedział Strażnik Magicznego Drzewa. Był to mężczyzna o twarzy tak brzydkiej, że Gabrielo z żalu nad nim wzięło na płacz. (Aż dziw, gdzie znaleźli tak brzydkiego Latynosa). Szybko się jednak opanował i zsiadł z konia.

– Witaj, śmiałku, jestem Strażnikiem Magicznego Drzewa – powiedział brzydki Latynos.

– Witaj, domyślam się – odparł rezolutnie Gabrielo.

– Życiodajny nektar jest już niemal w zasięgu twojej ręki – rzekł mężczyzna i zawiesił głos jak w filmach grozy. – Zanim jednak go dostaniesz, musisz odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy jesteś gotów?

– Tak – odparł bez wahania.

– Ale czy na pewno?